

JOANNA JAGIEŁŁO

Tylko
gdy
pada
deszcz

Niepodobna wejść dwa razy do tej samej rzeki.
Heraklit z Efezu



Joanna Jagiełło
Tylko gdy pada deszcz

© by Joanna Jagiełło
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
ISBN 978-83-7672-615-1

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwoliteratura.pl

CZERWIEC

ZUZA

Budzik! Wysoki dźwięk przeszywa mnie jak sztylet, wwierca się jak świder dentystyczny, zabija! To zamach, bo jest sobota i budzik nie powinien dzwonić! Każdy poranny dźwięk jest budzikiem – telefon, kosiarka, śmieciarka. Dziady chrzanione! Zawsze człowieka obudzą w jeden jedyny dzień, kiedy może pospać dłużej niż do szóstej trzydzieści.

Ten dźwięk to akurat dzwonek domofonu. Szukam po omacku kroksów, jest tylko jeden, więc w tym jednym wlokę się do drzwi. Po drodze odczytuję godzinę na piekarniku elektrycznym. Dziewiąta. Środek nocy. Ciekawe, kto się do nas dobija w środku nocy. A może jest u nas impreza, o której nie wiem?

– Czy mogę wrzucić ulotki do skrzynek? – bełkocze głos, trudno ocenić – damski czy męski. Głos robota.

Że co? No jasna cholera! W sobotę o dziewiątej rano? O dziewiątej? Sobota po to jest sobotą, żeby o dziewiątej co najwyżej przekręcić się delikatnie na drugi bok. Mam ochotę iść i zabić to głupie, piskliwie bełkoczące coś. Wyobrażam sobie, że zachodzę to coś od tyłu, kiedy wrzuca te śmieci do skrzynek na listy, nie widzi mnie, a ja wpijam się w jego plecy szponami jak wielkie ptaszysko. Wyobrażam sobie, jak wrzeszczy, jak przykładam mu nóż do gardła i każę przyrzec, że najwcześniejszą godziną na zabawę domofonem będzie dwunasta (bo to by było rozsądne, nie?).

Ale nic nie robię. Tylko kilka razy przeklinam pod nosem. Jestem tak zmęczona i niewyspana, że moje prostackie i niewy-myślne przekleństwa wypadają blado.

– Szmaciarzu! – dodaję jeszcze (bo niczego bardziej wy-sublimowanego nie mogę wymyślić) i wyrażam mu pięścią przez okno, chociaż przecież nie fruwa jak Mary Poppins. – Nie zniszczysz mnie!

Sobota, czyli mama uczy na lektoratach, a ja mam cały dzień dla siebie. I to wyjątkowo długi dzień! Ale wcale nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy nie. Powinnam się skupić na lekcjach, a ja zwykle przez całą sobotę skupiam się na tym, że mi smutno i samotnie, i że nikt mnie nie kocha. Albo wpadam w taką euforię z powodu wolnej chaty, że już sama nie wiem, co ze sobą zrobić. Mama mówi, że jestem niestabilna emocjonalnie. Coś w tym jest.

Człapię do kuchni, po drodze przeskakując przez buty, książki, pudełka o niezidentyfikowanej zawartości. Życie w małym mieszkaniu przypomina ciągły bieg z przeszkodami. To chaos, twórczy chyba tylko dla tego, kto nie żyje w nim na co dzień. Chyba że mamy na myśli na przykład tworzenie się kolonii owadów. Muszek owocówek, chociaż nie uświadczysz u nas żadnego owocu. Ciem, które spadają ci na twarz w ciemności, a ty wrzeszczysz i wrzeszczysz i nie możesz przestać. No i moli, ich zetłałych, zminiaturyzowanych dziennych odpowiedników, mogących doprowadzić człowieka do obłądu.

Zabijam jednego. Lata wolno i łatwo go złapać. Po kłaśnięciu zostaje takie nic, małe badziewko, które wygląda jak wysuszona, srebrzysta smuga we wnętrzu dłoni. Walczymy z nimi od zawsze. Co pewien czas mama w amoku wywala wszystko z szafek i znajduje kolejne gniazdo. Ostatnio załęgły się w ziarnach słonecznika. Ohydne larwy wijące się w swoim własnym syfie. Myślałam, że się zrzygam. Jak już wywalimy wszystkie

potencjalne i prawdziwe zagrożenia, to przez pewien czas ich nie ma. Ale zawsze się odradzają. W końcu wystarczy jeden, a larwy mogą załęgnąć się nawet w meblach. Podobno mole ma się dożywno.

No cóż, i tak nie są najgorsze. Wolę je od karaluchów, z którymi też miałyśmy już wiele przygód. Robisz sobie rano herbatę, zaparzasz ostatnią torebkę earl greya i nagle widzisz, że do środka wpadło to gówniane coś i drżą mu czułki, gdy się gotuje we wrzątku. Ohyda! Otwierasz książkę od matmy, a tam wysuszony, płaski trupek niby zakładka z muzeum historii naturalnej. W nocy chce ci się siku, a kiedy otwierasz drzwi od łazienki, to w środku jest czarno. Normalnie jak na pogrzebie, a trzęsie się to wszystko i drga, jakby żałobnicy zrobili sobie dyskotekę.

Kiedy ich populacja rozkwitła i zaczęły nam spadać na głowę z sufitu, mama wreszcie wezwała speców. Przeszli po mieszkaniu z dziwnym niby to odkurzaczem, który wyglądał jak wannolot z *Tytusa, Romka i A'Tomka*, i opryskali ściany. Teraz jest spokój.

Na mole takiego środka nie ma. Trzeba je pokochać. Choć czasem trudno, szczególnie kiedy wyciągasz ostatnią torebkę kaszy, a w środku coś dygocze, jakby trzęsąca się broda starucha. Znajdujesz półmartwe osobniki, które wytoczyły z odwłoków tę niby pajęczynę, te drgające nitki.

I wszystko to w naszej maleńkiej kuchni, która w kategorii „najbardziej klaustrofobiczne wnętrze” mogłaby zdobyć pierwszą nagrodę. Zresztą całe mieszkanie jest niewiele większe. Kawalerka, dwadzieścia parę metrów kwadratowych, zminiaturyzowane życie – jak u Japończyków. Niestety, nie ma to nic wspólnego z minimalizmem, bo my z mamą cierpimy na przypadłość, która nazywa się nadmiar. Nadmiar wszystkiego.

Kiedy kupiliśmy to mieszkanie, była w nim szafa z pękniętym lustrem. I taka została, a teraz śmiejemy się, że pękła w szwach. Każda z nas ma po trzy półki i po jednej szufladzie, oraz po połowie drążka z wieszakami. Co pewien czas próbujemy coś wyrzucić, ale to trudne, szczególnie dla mamy, która uważa, że rzeczy żyją i byłoby im przykro.

Ścianę zajmują półki z książkami – tych to wyrzucić już absolutnie nie wolno! Przegrodziłyśmy pokój ścianką, żebym miała swój kącik, ale mieści się w nim tylko łóżko. Niestety – tą ścianką zostałam odcięta od okna, więc mój pokój wygląda jak nora hobbita. Ale mam się gdzie schować. W drugiej części pokoju jest regał, rozkładana kanapa mamy i mały stół, czyli sypialnia pani domu, jadalnia, pokój gościnny oraz mój gabinet, bo przy tym stole odrabiam też lekcje. Gdy macham pod nim nogami, walę w pierdylion pudeł z rzeczami. Gdyby ktoś nas nie znał, pomyślałby, że jesteśmy w trakcie przeprowadzki, i to rodziny co najmniej dziesięcioosobowej. Ta przeprowadzka trwa, odkąd się urodziłam.

Próbuję znaleźć czysty kubek w zawalonym zlewie, w końcu jedną ręką przepłukuję pierwszy z brzegu. Drugą ręką wyrzucam do kosza skórki po arbuzie, szypułki truskawek, torebkę po czymś niezidentyfikowanym, łupiny cebuli, reklamę pizzy. To i tak nie pomoże. Rzeczy gromadzą się i panoszą, jakby odkryły, że mają u nas więcej wolności niż gdzie indziej. Ciekawa jestem, co robią, gdy śpimy. Pewnie jest niezły melanz, jak w *Toy Story*.

Otwieram lodówkę w poszukiwaniu propozycji śniadaniowych, ale cóż – kuchnia nie jest konikiem mamy, moim zresztą też nie. Znajduję mleko. Będą więc płatki, jak co dzień. Ktoś, kto wymyślił płatki kukurydziane, musli, czekoladowe kółka i cynamonowe kwadraty, był geniuszem. Tacy ludzie powinni dostawać Nobla, a nie jacyś, co w ogóle nie wiadomo, kim są,

a nawet jak przeczytasz, za co ten Nobel, to i tak nie masz zielonego pojęcia, o co chodzi. U nas zawsze jest kilka rodzajów płatków, dzięki czemu mamy wrażenie, że codziennie jemy co innego. Chociaż mama raczej je jajko i pomidora. Ale też zmienia menu: raz jest sadzone, a raz wysuszona jajecznicą.

Wstawiam miseczkę z resztką płatków do zlewu. Upajam się ciszą i samotnością. Żadnego: „Czy ty naprawdę myślisz, że ta resztką płatków sama się wyrzuci, a miska sama umyje?”. Mama jest spoko, ale za często udaje, że mnie wychowuje. Niech sobie jeszcze postoją. Chichoczę, bo wyobrażam sobie, co by było, gdyby pewnego dnia ta miska naprawdę wyszorowała się sama i odfrunęła na półkę.

Lubię tak chodzić po domu i myśleć o głupotach. Czasem sobie wyobrażam, że mieszkam sama, chociaż w sumie to wredne. Nie to, żebym miała zły kontakt z mamą. Wydaje mi się, że jak na warunki, w których żyjemy, ten kontakt jest nawet świetny. Tyle że nie ma tu za bardzo miejsca, gdzie można by pobyć samej ze sobą. Mama musi czuć podobnie.

Czeka mnie zatem cudowna, samotna sobota. Ogarnę pokój, potem się pouczę. Mama wróci pewnie koło trzeciej, sklecimy jakiś obiad, spotkam się z Luską. Nie jest to plan *wow*, nic, co by się nadawało na snapa, ale całkiem fajny dzień. Każdy bez szkoły jest fajny, to proste jak obieranie kartofli. Dobrze, że już czerwiec, zaraz się skończy ten koszmar. Jedyne, na co po cichu liczę, to że, mimo moich porażek, z matmy i fizyki będę miała tróje, a nie mierne. I że z reszty dostanę dużo lepsze stopnie. I że będę miała pasek, mimo iż jestem matematycznym debilem. Jakby na przekór. Mam dwa dni na poprawienie kilku testów.

Dla przyspieszenia pracy szarych komórek zalewam sobie jeszcze kawę rozpuszczalną. Mama zawsze robi o nią aferę, uważa, że rozpuszczalna jest trująca, więc mam słoik skitra-

ny w pudełku pod łóżkiem. Mam nadzieję, że tam nie zagląda, bo oprócz kawy upchnęłam tam paczkę białych Marlboro i pamiętnik. Co do fajek, wypalone są tylko dwie, reszta czeka na okazję. Jak na przykład nie zdam albo rzuci mnie chłopak. Pierwsze bardziej prawdopodobne (choć nie aż tak), drugie mniej, bo nie mam chłopaka. Gorzej z pamiętnikiem: często go używam, a że moje życie nie jest specjalnie ciekawe, bo trudno, żebym pisała o kolejnej pale z matmy, są tam opowieści o wszystkich fagasach mojej matki. Gdyby to znalazła, nastąpiłby chyba koniec mojego życia, bo żadnego nie oszczędziłam. Cóż, matka sama mówi, że żeby oszczędzać, to trzeba mieć z czego. Oczywiście dotyczy to kasy, a nie fagasów. Jak mi się zdaje – w obu obszarach jest u niej zresztą tak samo cienko.

Na razie mamy spokój, bo matka jest teraz sama, ale czuję, że wkrótce napatoczy się kolejny dziwak. Uważam, że mimo wszystko mogła zostać z ojcem, a nie się na niego obrażać. Każdy z tych idiotów jest sto razy gorszy od ojca, naprawdę. Bez porównania. Ojciec był jakby z normalnego sklepu z facetami, może model nie do końca pasował, ale na pewno nie był uszkodzony ani przeterminowany. A ta reszta pachnie mi handlem starzyzną, przecenami, wyprzedają, jakby to były ostatnie modele, poprute, nie w rozmiarze, ze skazą. Chiński sklep, wszystko po dwa zeta. Ostatnie sztuki w rozmiarach 32 i 61. Zamiast nogawek rękawy, zaszyte kieszenie, dwa lewe buty.

Taki na przykład Zdzisio. Nazywałam go Burgerem, bo zabrał nas na drogie burgery na Nowym Świecie, które ociekają sosem, rozpływają się w ustach i w ogóle, a potem powiedział, że zapomniał portfela. Pożyczył od mamy kasę, sporo tego było, bo jeszcze piwo i lemoniady rabarbarowe, i nawet lody, a potem nie odbierał telefonu, kiedy dzwoniła. Może po prostu był głodny? Powiedziałam mamie, że święta Teresa też dawała głodnym w potrzebie, to się obraziła.

Albo Marian. W konkursie na najlepsze imię miał już złoto, a srebro za bezczelność. Po jednej randce z moją matką (poznała go przez internet) stanął w progu z walizką. Długo mu tłumaczyła, że chyba niedokładnie się zrozumieli. Musiałam tego słuchać, a potem długo po nim wietrzyć, gdy już udało nam się wypieprzyć go z tą walizką za drzwi. Zdaje się, że w ogóle nie prał skarpet, a uparł się, że jako człowiek dobrze wychowany zdejmie buty. Jezu, co za sztynek!

Następny był Eryczek Elegancik. Mama spotykała się z nim przez kilka miesięcy (albo była ślepa, albo naprawdę zakochana). Eryczek wciąż patrzył w lusterko, nosił ze sobą specjalną szmatkę do przecierania butów, nakładał na twarz podkład (!!!) i nie byłabym zaskoczona, gdyby sobie szminkował usta. Na tle jego trupiobladej twarzy wydawały się zawsze zbyt jaskrawe.

Potem był jakiś szajbus. Chyba brał narkotyki. Mówił do mnie „Kizia-mizia”. Serio. Uważał, że wszyscy mają założone podsłuchy. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było straszne. Szczęśliwie ta relacja trwała tylko dwa tygodnie, dlatego nawet nie zapamiętałam jego imienia.

Pojawił się też Poeta. Nie to, żebym miała coś do poetów tak ogólnie, wręcz przeciwnie. Ale akurat ten mieszkał ze swoją mamą, choć od mojej był starszy prawie o dziesięć lat. Gotowała mu siostra, pożyczal od niej na fajki i nie pracował. Zamiast tego pisał wspaniałe wiersze o miłości i recytował je na wieczorkach poetyckich. Mama chodziła na nie i wpatrywała się w niego rozmodlonym wzrokiem. Zostały nam po nim dwa tomiki, których mama nie wyrzuciła, bo „nie wyrzuca się prezentów, a w szczególności książek” – nawet jeśli są bardzo złe. Przez rok potykałam się w przedpokoju o jego wytarte, granatowe klapki z napisem „KUBOTA”. Te w końcu wyrzuciła, uff.

Od tamtej pory nie było już żadnego faceta. Trochę się o mamę martwię, chodzi jakaś taka przygaszona, a na wszyst-

kich filmach o miłości strasznie łka. Rozumiem, to już chyba czwarty miesiąc bez nikogo, nie sądzę, żeby kiedykolwiek w życiu była sama tak długo. Oczywiście odbija się to na mnie, bo ciągle jest wkurzona i o wszystko się złości. Kiedy ostatnio zapytałam ją, czy jest taka wściekła, bo już dawno nie miała żadnego faceta, to spojrzała na mnie tak, jakbym jej kogoś zabiła. A przecież ja już nie jestem dzieckiem, kumam to. Gdyby była singielką z wyboru, a nie z konieczności, to na pewno by nie płakała, że jest samotna i że już sobie życia nie ułoży.

Na przykład tydzień temu przyszłam wieczorem, po fakultecie. I zastałam ją w kuchni płaczącą jak bóbr.

– Czemu płaczesz, mamó? – zapytałam. – Coś się stało?

– Nawet chmury płyną parami – chlipnęła. – Popatrz. A ja? Tak bez nikogo?

Na niebie rozedrgane kawałki, fragmenty bieli. Zwariowała czy co?

– Ty coś piąś?

– Tylko trochę wina. To nieistotne. Tak mi po prostu... smutno – westchnęła i otarła łzy kuchenną ścierką.

– Może film jakiś obejrzymy, kupię chipsy, co? Albo zagramy w coś, na przykład w memo? – zaproponowałam. To zawsze działa.

Spojrzała na mnie, jakby zobaczyła ducha.

– Dobrze, Zuziu, fajnie. Obejrzyjmy, kup chipsy. Nie przejmuj się, to chwilowe... Takie mnie czasem nachodzą myśli...

Zjadłyśmy wtedy te chipsy i obejrzałyśmy głupią komedię romantyczną, i przez chwilę było lepiej. Chwilę. Bo przecież tego, czego by naprawdę chciała, to ja jej i tak nie mogę dać.

Kurczę, jest inteligentna, ma urok osobisty, długie nogi, blond loki, trzy fakultety, zna kilka języków, każdy ją uwielbia. I co z tego? Nie znam nikogo innego, komu tak cholernie by się w życiu nie udało.

Oczywiście nie zawsze tak myślałam. Kiedyś mama była moim guru. Piękna i dobra jak z bajek Disneya. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jaka jest w tym wszystkim niesprawiedliwość. Dlaczego te okropne, grube, niemiłe i głupie matki moich koleżanek mają fajnych mężów, dobrą pracę, łatwe życie, a moja cudowna mama ledwo wiąże koniec z końcem, pracując w trzech miejscach, tłukąc jakieś chałtury, i w dodatku ciągle jest sama? Oczywiście miewałam też wyrzuty sumienia, w końcu to trochę przeze mnie. Ale czy gdyby mnie nie było, coś by było inaczej? Nie sądzę.

No i przychodziła zawsze jeszcze jedna myśl. Co ze mną? Czy to się dziedziczy? Czy jestem jak mama? Ładna czy nie? A może będę kiedyś piękna jak ona? I też sobie życia nie ułożę?

Świetnie. Zamiast się uczyć, czytam wpisy w pamiętniku i dywaguję nad życiem uczuciowym mojej matki. Zupełnie zwariowałam.

– Przestań! – krzyczę do siebie. – Przestań zajmować się tymi pierdołami! Ucz się! Co z tego, że obudziłaś się o dziesiątej, skoro jest już wpół do dwunastej?

Nagle słyszę durny dźwięk, który ustawiłam sobie dla przychodzącego esemesa.

Wstałaś? – to mama. Co ona, zwariowała? Jakbym w soboty wstawała o dwunastej. Nie no, w sumie tak jest. W soboty wstaję o dwunastej, jeśli mnie nie budzą jakieś świry od ulotek. A raz to spałam nawet do szesnastej, z wyciszonym telefonem, i wszyscy myśleli, że chyba umarłam.

Wstałam – odpisuję. A ona dzwoni.

– Hej, skarbulku! – rozlega się przesłodzony głos. Skąd ona bierze te pokłady szczęśliwości? Jak to możliwe, że raz ma doła, a raz ćwierka jak wróbelek? – *Wstałaś?*

– No przecież ci pisałam, że wstałam. Co tam? – pytam i ziewam, jakbym wstała przed chwilą, a nie trzy godziny temu.

– Kochanie... jest taka sprawa...

Coś jest na rzeczy. Staję się czujna.

– Bo widzisz, Darek... To znaczy... poznałam takiego kolegę...

Zawsze na początku nazywa ich kolegami. Jest też inne świetne słowo: „znajomy”. Kolega z pracy. Taki znajomy... Kolega kolegi. Znajomy znajomego. I wreszcie: przyjaciel. Tak, tak, z którym przyjaźni się dokładnie od niedzieli.

– No jednym słowem, bardzo chciałby cię poznać. Zaprasza nas dzisiaj na lody po mojej pracy. Do Akwarium na Saskiej Kępie. No wiesz, taki niezobowiązujący wieczór...

Ehe. Wieczór? Przecież umówiłam się z Luśką.

– A raczej popołudnie, na czternastą, dobrze?

– Bez jaj, mam. To za dwie godziny!

– No tak. Dzisiaj wcześniej kończę. Zapomniałam ci powiedzieć. Tylko ubierz się jakoś...

– No jak?

Od razu się najeżam. W co mam się ubrać na randkę mojej mamy? W spodnie ze srebrnymi lampasami? W komplet z ak-samitu haftowany w kwiaty, który dostałam kiedyś od ciotki i nigdy nie założyłam (czekam, aż będzie za mały, żeby się go pozbyć bez wyrzutów sumienia)?

– Na galowo, mam? – parskam śmiechem, ale jej głos brzmi poważnie.

– Może założysz tę sukienkę w kwiatki? Tak w niej słodko wyglądasz.

Mam ochotę ją zapytać, czy sama wygląda wystarczająco słodko, czy też ma na sobie jakieś szmatki w kwiatki, coś z tego, co kupuje na tony w lumpie przy pracy, po czym chodzi w dżinsach, a te słodkie pierdziociuszki wylewają się z szafy jak fala tsunami, ale gryzę się w język. Co mi zależy, ubiorę się, jak ona chce. W tę jedyną sukienkę, jaką posiadam. Może

tym razem los przyniósł jej rycerza na białym koniu, he, he. Zdaje się, że przy statystykach dotyczących kobiet w jej wieku ma na to naprawdę małe szanse. Zresztą odnoszę wrażenie, że mama zawsze przyciąga największych popaprańców. Jakichś bezrobotnych albo kryminalistów. Gdyby był taki jeden na sto na imprezie dla samotnych, to właśnie ten jeden na pewno by się w niej zakochał. Zamiast rycerza na koniu, popapraniec na ośle. Albo po prostu osioł, nawet bez jeźdźca.

– A nie będziemy jeść obiadu? – pytam. – W sumie czternaście to raczej pora na obiad, a nie na lody.

– Obiadu? – jest tak zdziwiona, jakby nie wiedziała w ogóle, co to jest obiad.

Wzdycham ciężko. Może jeśli będzie fajnie na tej randce, to da się namówić potem na mój ukochany kebab na Francuskiej. Ale jeśli naprawdę się zakochała, to idą ciężkie czasy. Mama przestaje pamiętać o wszystkich przyziemnych kwestiach, takich jak obiad, kieszonkowe, zakupy, opłaty szkolne i tak dalej. Z drugiej strony: jak się to zapominalstwo ma do ogólnej szczęśliwości, którą matka wtedy promieniuje, jakby miała jakąś żarówkę w środku? Nijak. Mimo że coś jej tam szwankuje na polu „dom” i „wychowanie córki”, bardzo tę jej szczęśliwość lubię.

– Obiad, mamo. Posiłek zwykle jedzony w środku dnia. Może składać się z zupy i drugiego dania, a nawet deseru. Albo zjem kebaba. Dasz kaszkę?

Uśmiecham się przez telefon, ale mam wrażenie, że i tak słucha mnie połowicznie. Pewnie Nowy Kolega wypełnił jej cały mózg.

Zakładam więc kwiecistą sukienkę, chociaż uważam, że nadaje się tylko na plażę w Międzywodziu (w Międzyzdrojach już nie). Dla tych, co nie byli: Międzyzdroje to Festiwal Gwiazd,

a Międzywodzie: festiwal hm... babć z laseczkami i strzyżonych piesków. Mała wioska, mówiąc wprost.

Tak, wiem, że tę sukienkę sama kiedyś chciałam, i co z tego? To było dwa lata temu. Co ja poradzę, że tak, jak mi się zmienia rozmiar stopy, zmienia mi się również gust? Przypominam dziewczynkę z sierocińca, którą ładnie ubrano w nadziei, że ktoś ją zaadoptuje. No cóż, w sumie porównanie całkiem adekwatne. A może matka poznała w końcu kogoś, kto nie jest fagasem i idiotą? Może będzie fajny i normalny? To nic z tego przecież nie wyjdzie, jeśli ten ktoś nie polubi mnie, prawda? Dopóki nie zobaczę go na własne oczy i nie stwierdzę, że to fagas – mogę się trochę postarać. Nawet sobie maluję rzęsy. Niech mu będzie, temu siódmemu. Szóstemu? Pogubiłam się już w rachubach.

Uwielbiam, po prostu uwielbiam Saską Kępę. Jest jak miasto w mieście. Moi znajomi wolą centrum. Mówią, że tam jest życie, a tutaj chodzą tylko stare arystokratki i jedzą crêpes w niby francuskich kawiarenkach. Może i tak. Może nie ma tu dzikich klubów, fakt. Ale Saska mnie uspokaja. Oprócz tego, oczywiście, że jest tu beznadziejny dojazd. Autobusy niby jeżdżą, a nie jeżdżą, uciekają sprzed nosa, a jak już wsiądziesz, to staje w korku na moście i klniesz, że się nie przesiadłaś w tramwaj.

Na szczęście do szkoły mam na piechotę, podobnie do Akwarium. Ciekawe, po ile teraz jest kulka, ostatnio tam nie byłam, ale zawsze się za te lody buliło, jakby były z brylantów. No fakt – nie mają sobie równych. Może fagas siódmy też zapomni portfela, he, he.

Patrzę w komórkę, jest dopiero za dziesięć. Nie mogę być tam przed nimi, to jakoś tak głupio. Lepiej sobie trochę posiedzę na ogrodzeniu i poczekam. I tak sobie siedzę, i wgapiam się w ludzi, jak w lecący bez przerwy na reklamy serial, w którym

nie wiem, o co chodzi. Do pewnego momentu, bo nagle ich widzę.

Czasem, kiedy zobaczymy któreś z rodziców z dystansu, perspektywa się zmienia. Może to jest tak, że dla nas mają zawsze jakąś twarz, a dla świata zupełnie inną. Mama teraz wygląda inaczej, niż kiedy widziałam ją ostatnio, czyli wczoraj. Widywałam już mamę szczęśliwą, uradowaną i zakochaną. Ale teraz mama idzie Francuską, jakby frunęła albo lewitowała, jakby powietrze nie stawiało jej żadnego oporu, normalnie Supermanka, tylko w codziennym stroju. Jej rudozłote loki tańczą, co pewien czas wybucha śmiechem tak perlistym, że nadaje się na dzwonek w komórce. Wygląda, jakby od środka wypełniało ją światło, jakby właśnie urodziła Dzieciątko Jezus. To dla mnie szok. Nigdy jej takiej nie widziałam.

Przez chwilę nawet nie zauważam, że nie jest sama. Dopiero po sekundzie przesuwam wzrok. Facet jest wysoki, dobrze zbudowany, przystojniak. Nie no, jest boski. Nie mam czasu dłużej mu się przyglądać, bo mnie mijają, ani razu nie patrząc w moją stronę. Hu, hu, przynajmniej jeśli chodzi o urodę, to tym razem nie będzie się czego wstydzic. Niby wystarczy, żeby facet był ładniejszy od diabła, ale jak zobaczyłam tego jej choćby Burgera, to pomyślałam od razu, że w szkole musiał mieć przesrane.

Są tacy pochłonięci sobą, a ja... cała drzę z przejęcia. Właściwie to najchętniej wróciłabym do domu, żeby nie psuć im tego szczęścia. Jeśli coś w życiu zrozumiałam, to że jeśli dorosłym coś w ogóle może dać szczęście, to na pewno nie są to dzieci. No, może małe słodkie noworodki, takie co to się dopiero urodziły. Na pewno nie nastolatki, które zawsze coś robią nie tak i mówią nie tak. No więc skoro już tyle życia jej napsulałam, to postanawiam, że naprawdę się postaram. Nie mogę być ładna ani wyjątkowa. Ale będę miła i urocza. Tak właśnie.